



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

POGAWĘDKA.

Wiadomem jest, że przy zajęciu i pracy czas szybko upływa;—skracają się godziny, dni, które wlokłyby się nieraz ciężko i nudnie, przechodzą niepostrzeżenie i gdy człek się po za siebie obejrzy, półmiesiące już i miesiące minęły. Gdybym był wieszczem, napisałbym wspianiała odę do pracy; gdybym miał natchnienie Fidyasza a dłoń wprawną do dłuta—uwidoczniał bym ją w areydziele rzeźby. Praca przytłumia złe instynkty, nie daje się zmysłom rozpanaszać, a nieopuszczając człowieka, staje się z czasem najukochańszą jego przyjaciółką, najwierniejszą małżonką i pocieszycielką w dniach strapienia. Minęły już te czasy (w znacznej części przynajmniej) kiedy to sam już wyraz: praca—miał coś pogardliwego w sobie. Może i dzisiaj znajdzie się gdziekolwiek jeszcze „guwerner udęczonej,” lecz już nie w takich rozmiarach, jakto o wyrobniku owym wspominał ongi ś. p. J. I. Kraszewski. Dziś, gdy poznajemy człowieka, pierwsze pytanie, jakie nam się rodzi w umyśle, jest:

„A co on robi?”

Z odpowiedzi, bierzemy choć w części miarę o jego moralnej wartości.

Z małemi wyjątkami ludzie pracują dla siebie,—to dla siebie jednak nie jest tak bardzo samolubne, jakby na pierwszy rzut oka zdawać się mogło: ma ono dość szerokie znaczenie. Z mojem ja łączy się byt całej rodziny, przyszłość mych dzieci; z bezmyślnych trzpiotów wyrastają ludzie, którzy powinni być dobrymi członkami społeczeństwa. Ta praca więc dla siebie, która ma na celu zabezpieczenie bytu nie tylko sobie—staje się już czemś bardzo poważnym i godnym szacunku.

Nie taką boleścią nie przejmują serc naszych, jak zmarnowany trud, jak zakończenie samobójstwem

nieraz, śmiertelnej walki z losem. Jednym na myśli wnet staje grzech śmiertelny i — potępienie, ja czuję litość bezgraniczną i nigdy ręki nie podniosł, by rzucić, choćby na ich pamięć, słowa kłętwy. Kto zna życie, ten wie jakie są nieraz jego nadmierne ciężary; kto sam borykał się z losem i zarabiał na chleb powszedni—ten wie, jak nieraz jest ciężko na kawał zapracować suchara. Szczęśliwy, kto pracować może i umie, lecz stokroć szczęśliwszy ten, komu nigdy nie zbraknie pracy, tej przyjaciółki i pocieszycielki w dniach smutku.

Nie będzie techną poradoksem zdanie, że — nie łatwiejszego jak umrzeć z głodu. Kronika codzienna wszystkich miast wielkich, potwierdza to w całej rozciągłości. Czytamy wciąż krótkie, lecz znamienne notatki: odebrał sobie życie z braku środków — do życia.

To straszne—lecz jak rozpacznie prawdziwe.

Zapewne, że wiele przyczyn składa się nieraz, przyczyn częstokroć bardzo ujemnej natury, które doprowadziły desperata do okropnego końca. Łatwotworność byłaby jeszcze mniejszym grzechem—lecz częściej: życie nad stan, ztąd płatanie się w długi, niemożność wybrnięcia z nich a wstyd — i rozpacz, wkładają w dłonie nóż zabójczy.

Lecz czasem i inaczej się dzieje.

Piszemy te słowa pod wrażeniem świeżego wypadku, jaki wydarzył się w Warszawie w rodzinie Z.... Było ich dwoje tylko—mąż i żona, i—postanowili umrzeć — z braku środków do życia. O ile wiemy, nie było tam win wyżej wymienionych .. ot, ułożyło się tak życie, że rozbrat z niem wziąć musieli. On umarł — ona uratowaną została — lecz smutny fakt pozostanie faktem, że łatwo umrzeć jest, choćby przed obawą — głodu. Ludzie męczą rozumy by zapobiedz złemu, a oddawna nam jedyny środek ratunku podała Ewangelija:

„Masz dwa płaszcze,—oddaj jeden.”

W ostatniej pogadance z wami, mówiłem o mocującej się zimie, o oczekiwaniem lada chwila stukięciu w okienko pożądanej, spragnionej przez nas

wszystkich wiosenki. I przyszła nadspodziewanie szybko i piękna nadspodziewanie.

Co za gwar w świecie ptaszęcym, co za radość szarych, pocziwych naszych wróbelków!

Czyście przechodzili Bielańską ulicą, koło pałacu Zawiszów? Jest tam drzewo jedno, zdaje mi się, że topola, usiane temi szaremi stworzeńkami, dzwoniące nieskończonym świergotem, tym radosnym hejnałem wiosny. Wprawdzie, że wiadomości ze stacyj meteorologicznych brzmią nie zupełnie pomysłnie: mają być jeszcze chłody i śniegi i deszcze i zawieje, słowem, to wszystko, co—cieszyliśmy się—że już bezpowrotnie przeszło.

Wierzyć czy nie wierzyć tym wróżbom?

Ano—może się pomyła?

Wbrew czci dla nauki, chciałbym, ażeby tym razem omylną była.

Za dni parę będziemy mieli dzień bardzo niemożliwy, w którym ludzi oszukiwać można. Obyż to tylko dzień jeden taki był w roku! Tymczasem dni tych jest trzysta sześćdziesiąt pięć, a rok bieżący ma naddatkiem dzień jeszcze jeden. Lecz pierwszy Kwietnia jest dniem uprzywilejowanym, i oszukaniec nie podpada pod żaden paragraf kodeksu karnego, ani też nie z honoru w opinji publicznej nie traci.

Prima aprilis!

Ktoby zapomniał o tem, przypomniatyby mu w wystawowych oknach rozmaitych sklepów dowcipy i *malunki*, które dobrze znajomym albo niemiłe widzianym, w dzień owy przesyłane być mają. Boże mój, czego tam niema: ciągnięcie języków, wlewanie oleju do głowy, a wszystko to w większej części ozdobione barwisto i jakąś rymowaną sentencyą opatrzone.

Przesyłanie takich biletów ma być dawnym, warszawiaków zwyczajem. Jest tak czy nie jest, tego nie wiem dokładnie, ale dowcipy i rysunki częstokroć są wprost nieprzyzwoite i wymagałyby pewnej a skutecznej reformy. Zabawa nie grzech żaden—niech się ludek bawi, lecz w każdej rozrywce po-

winna być pewna granica przyzwoitości, po za którą przestąpić nie wolno. Wiemy też, jak, skądinąd w ukojonej Warszawie, rozwielił się sport listów animowych, brzydkie oszczerstwo i nastawanie na dobrą sławę bliźnich. Niewinna, a uświęcona tradycją gra w oszukaństwo w dniu pierwszym Kwietnia, dla tych sportowców jest doskonałym polem popisów, brak dowcipu zaś wynagrodzą im powyżej wymienione malatury, ów produkt zagracznych zdaje się nawet fabryk, który zręcznym geszefciarzom, zawsze grosz jaki taki napędzi. Popłaca się to im widocznie, bo rok rocznie ilość dowcipów się wzmacza wraz z coraz z drastyczniejszymi rysunkami—ale...

*Francuz wymyśli, Niemiec zrobi,
Polak wszystko kupi...*

dawna jakaś piosenka powiada, z dni jeszcze dzieciństwa zapamiętana, przeze mnie. Doprawdy czas już wielki zaprzeczyć tej piosnce.

Odczyty, urządzone na dochód osad rolnych, cieszą się niemałym powodzeniem. Nie mamy potrzeby dodawać, że z najpopularniejszych są one najpopularniejsze i że, gdy komu stać na czasie, a odrobinę grosza jest w kieszeni, powinien pośpieszyć do ratuszowej sali. Nie jest to wprawdzie bal maskowy ani popis „na Dynasach,” niesmaczny dowcip podejrzaney maseczki podejrzanym nie zaintryguje cię dowcipem, ani się ci w „holendrach” noga uszlizgnie—posiadasz tylko nieco większy zapas wiadomości, i zapoznasz się z ludźmi, którzy na cel zacy swój czas i wiedzę poświęcili — tak jak ty, czytelniku—grosz wydobyty z kieszeni.

Szereg Prelekyi rozpoczął pan Jankowski „O roślinach mięsożernych,” następnie na katedrze ujrzelimy p. Aleksandra Kraushara, który umiał, uważając swoich słuchaczy przykuć wygłoszoną pracą o „Krytyce literackiej i zarysie jej rozwoju w literaturze polskiej.” Na szczupłe ramy odczytu, przedmiot to zbyt obszerny, lecz wypowiedziany został treściwie, ze zwyciężkiem pokonaniem samo przez się nasuwających się trudności. Cóż już powiedzieć o prelekyi p. Stanisława Beży „Na dalekiej północy” ilustrowanej niknącymi obrazami? Przedmiot sam przez się jest ciekawy, opisy krajiny tysiąca jezior, budzą w nas jakąś chętkę podróżniczą. Następnie mają wystąpić z odczytami p. A. Pilecki, Gostomski, Bożydar i inni — a dość tych nazwisk, by sala nie pomieściła słuchaczy.

Roczne a ogólne zebranie Towarzystwa Zachęty Sztuk pięknych w Królestwie Polskiem odbyło się dnia 1-go Marca r. b., a ze sprawozdania odczytane-go przez sekretarza p. Makowskiego, widzimy wciąż posuwający się naprzód rozwój Towarzystwa, co jest miarą zainteresowania się niem ogółu i nieusypiającego zamiłowania do sztuk wyzwolonych. Liczba członków wzrosła do weale poważnej już cyfry 5,370 więcej o 176 w porównaniu z rokiem ubiegłym; w tej liczbie liczba rzeczywistych — 1857, zwyczajnych — 3513. Ogólny dochód wynosił: z biletów członkowskich rs. 26,860, to jest — o rs. 700 więcej niż roku przeszłego. Wystawę zwiedziło 30,241 osoby — co dało dochodu 3,805 rs. 90 kop. — więcej o 656 rs. kop. 80 niż w r. p. Na wystawę stała przyjęto ogółem 801 przedmiotów sztuki, za osobną zaś dopłatą wystawiono: Zbiór wszystkich prac ś. p. Władysława Podkowińskiego, „Modlitwa” Józefa Brandta i Kotarbińskiego Wilhelma „Amor i Psyche” i „Anioł ementarny.” Dochód z tych wystaw przeznaczono na zwiększenie funduszu na budowę własnego gmachu oraz na zapomogę dla ubogich artystów—czyli rs. 665 kop. 85 na budowę, rs. 337 kop. 34—dla artystów. Do rozlosowania między członków komitet Towarzystwa zakupił 106 dzieł za sumę rs. 11,731 — osoby prywatne nabyły 174 dzieł za ogólną sumę 23,396 rs. Z niezamożnych artystów malarzy i rzeźbiarzy stypendja otrzymali: Konstanty Laszczka, Stanisław Jaroeki, Edward Grajner, Lucyan Kaczanowski, Kazimierz Mastalski, Bolesław Stankowski i Pietras; tytułem zaś zapomogi wydano rs. 150 zebranych z oddzielnych wystaw Towarzystwa. Przy głosowaniu postanowiono sumę rs. 7,800 pozostałą z remanentów rocznych, użyć na rzecz funduszu budowy gmachu, zajmowanego dotąd na wystawę i przyspieszenie terminu budowy.

Z pierwszym tehniem wiosny już się rozpoczął ruch budowlany w Warszawie, wznoszą się ruszto-

wania, zwożą cegły, niektóre też domy myślą o odnowieniu zewnętrznej sukienki; na ulicach niezadrzewionych mają powstać nowe szeregi drzew, niedokończone parki wykończyć się, powstać nowe skwery, a między innymi, na zbiegu ulic Mokotowskiej i Pięknej. Uporządkowany też będzie zapomniany był ementarz pokapucyński.

Wiosna — to trwoga dla nadwiślańskich mieszkańców, ale lody już spłynęły i pierś biedaków odetchnęła swobodniej. Słonecznie i pięknie jest na ziemi, ale cóż, gdy są Meneliki, którzy skórę trzepią albo, którym wypadłoby strzepać skórę. A tak byłoby spokojnie i dobrze!

Ba! każdy mówi o spokoju i szczęściu—a jak się mało dla nich robi. Przypatrzwszy się zblizka rojowisku ludzi, przejrawszy sprawy ich wszystkie, i różne podłostki—brrr! człek się wstrząsnąć musi. Ale świat się zaczyna wybielać, pobudkę ku temu wydzwoń!—Paryż.

— Co—Paryż?

— Tak—tak—tak — ów wszetecznik osławiony, Babilon nowoczesny.

W Paryżu powstaje teatr... biały. Sama ta nazwa, jako przeciwstawienie—mówi już dobrze o innych scenicznych widowiskach. Teatr biały ma powstać dla panien i dziewczątek, których najpiękniejszą ozdobą jest rumieniec wstydu, ta najcudowniejsza róża dziewiczości. Teatr ma być biały, t. j. żadne słówko dwuznaczne nie podrażni uszów niewinnych, niedomówienie żadne nie zamąci umysłu pytaniami, na które odpowiedź nie mogła by być jawnie wygłoszoną. To wszystko jest bardzo piękne, lecz czy tylko od teatru zależy poprawa społeczeństwa?

Wszystko się kończy dzwonem — jak powiedział hrabia w panu Tadeuszu; — co chwila dźwięk jego nas budzi i przypomina o spieszącym wciąż naprzód czasie.

Dnia 11 Marca rozstał się z tym światem ś. p. Gustaw Sennewald, właściciel księgarni przy ulicy Miodowej, reprezentant firmy liczącej siedmdziesiąt dwa lata istnienia. Urodził się w d. 9 kwietnia 1832 r. a ukończywszy wychowanie fachowe oddał się kierownictwu księgarni, założonej przez ojca w r. 1824. Ś. p. Sennewald był znany z uczynności, zacności charakteru i niepospolitej energii—miał wielu przyjaciół i potrafił zyskać szacunek ogólny. Jedną z obywatelskich zasług jego, była opieka, jaką otaczał szkołę handlową niedzielną. Zgon jego obudził żal wśród przyjaciół i tych, co w bliższych z nim byli stosunkach—i my na grób jego sypniemy garstkę ziemi z uczuciem szczerzego żalu.

??

KARTKI Z DZIENNIKA.

*Es ist eine alte Geschichte,
Doch bleibt sie immer neu...*

I.

Duch mój w przestrzeń dziś nie wzlata
Gdzieś na krańce tego świata,
Lecz nie pełza też po ziemi
Uczuciami, snami swemi.

Nie ostygło serce w łonie,
Nie skarłały życia cele,
Dawny zapach w piersi płonie.
Marzę, pragnę, kocham wiele ..

Kwiat miłości zakwitł złoty
Wśród mojego życia niwy,
Nie umieram już z tęsknoty
I nie jestem nieszczęśliwy.

Osobiste szczęście swoje
Nie na pierwszym stawiam planie,
Lecz, gdy przyjdą życia boje,
Sił mi doda to kochanie.

Myśl, że swego mam anioła,
W ciężkich chwilach sił dodaje,
Kiedy trzeba, „naprzód” woła
I wskazuje czynów kraje.

W życiu ciernie są i róże,—
Ja róż w mojem widzę więcej,
Czasem czoło troską chmurzę,
Częściej uśmiech mam dziecięcy...

II.

Jak cię nie kochać, aniele mój,
Znajdując życia w twych oczach zdroj?
Jak cię nie kochać, mając z twych rąk
Siły do walki, balsam wśród mąk?
Jak cię nie kochać, o mój aniele,
Gdy ci zawdzięczać muszę tak wiele!

Dokąd ty będziesz obok mnie iść,
Ja nie upadnę, jak marny liść.
Przez życie naprzód pójdziemy wraz,
I żadna burza nie złamie nas!
Świat nam nie będzie pustynią ciemną,
Dokąd ty będziesz iść razem ze mną...

III.

Z tobą się żegnać, to swe własne serce
Wyrwać z łona rękami krwawemi,
To się rozstawać w najślabszej iskierce
Ze szczęścia snami wszystkiemi.
To ciemną nocą iść gdzieś w kraj ponury,
Gdzie nigdy słońce nie wyrzy z zachmury,
Gdzie żadna gwiazda nie świeci na niebie,
Gdzie wszystkie dźwięki łączą się w dźwięk jeden:
„Na wieczność całą straciłeś swój Eden...”
To, mój aniele, znaczy: „żegnaj ciebie!”

Więc cię nie żegnaj, bo mej biednej duszy
Do cierpień takich zabrakłoby siły,
Bo na myśl samą o takiej katuszy
Me czoło bruzdy porwały...
Więc cię nie żegnaj... I wiem, na tym świecie
My się zobaczyć znów musimy przecie,
Życie nam wieczną nie będzie żałobą.
Przejdą rozstania dni, przejdzie cierpienie,
Znowu nam szczęścia zabłysną promienie,
Więc szepczę tylko: „do widzenia z tobą!”

IV.

Gdym ją żegnał na czas długi,
Całe niebo było szare...
Z cudzych oczu na mą rękę
Lecz srebrzystych spadło parę.

Nagle słońca promień jasny
Z za chmur ciemnych błysnął w górze—
Wśród łez uśmiech dziwny, smętny
Rozanielił lic jej róże...

Z temi łzami, z tym uśmiechem
Utraciły ją me oczy.
Niby złudna mara senna,
Zniknął obraz jej uroczy.

Odtąd jedno mam pragnienie,
Jednej prośby jestem echem,
Bym ją znowu ujrzał jeszcze
Z temi łzami, z tym uśmiechem...

Selim.

KĘDY DROGA?

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

Wandę Grot-Bęczkowską.

(Dalszy ciąg).

XV.

P. Helena z córkami spędziła rok cały zagranicą. Wymagało tego przede wszystkim zdrowie Janiny, której siły wracały zbyt powolnie i humor się nie poprawiał. Od powrotu z Zarzecza wciąż była w niezgodzie sama z sobą, a często i z otaczającymi. Ta nerwowość właśnie, którą przebytej chorobie przypisywano, niepokoiła lekarzy tem więcej, że chora poddawała się jej biernie, odsuwając wszelkie rady i pomoc.

O przeszłości starano się nie mówić z nią nigdy; ona przecież powracała wciąż do niej, z mglistych wspomnień wysnuwając wnioski i męcząc rodziców i Amelkę pytaniami.

— Niech zapomni, niech wyjedzie...—powtarzał p. Klemensowi Dembiński, ilekroć tamten przyjechał do Zarzecza.—Jak o łaskę najwyższą dla siebie proszę nie wspominać p. Janinie, że ja brałem jakiś udział w ratowaniu jej... Wogóle wszelkie wzmianki o przeszłości powinny być z rozmów usunięte...

Oczywiście zastosowano się do jego woli, chociaż Amelka sprzeciwiała się temu, twierdząc, kto wie, czy nie bez racyi, że właśnie wyjawienie prawdy wpłynęłoby na Janinę korzystnie.

Święta Wielkanocne wypadły w tym roku w połowie Kwietnia, podczas wyjątkowo suchej i ciepłej pory.

Powietrze było pełne woni, w promieniach słońca rozwijały się szybko kwiaty i liście, po ulicach uwijały się dzieciaki z bukietami fiołków, narcyzów i konwalii.

Tydzień świąteczny zaznaczył się wszędzie niebywałym prężeniem. Handel się ożywił, magazyny, eukiernie znajdowały się w formalnem obłożeniu.

A sprawcą tego wszystkiego było słońce. Wspaniałe a hojne, budziło w duszy każdego wesele i pragnienia, wlewało promyk otuchy i nadziei; dobroczynnemu wpływowi temu każdy chętnie się poddawał.

Prezes Krasnohorski zajmował elegancki apartament w Alejach Ujazdowskich.

Dziewięć pokoi umeblowanych bogato i gustownie, kucharz, lokaje, konie do wyjazdu i wszelkie najdrobniejsze wygody zaspokojone były dzięki ministeryjalnej głowie p. Klemensa, który i dom miał urządzonej na wielką skalę i żył po magnacku, budząc podziw i zazdrość ogólną.

Skąd czerpał? To było zagadką nawet dla p. Heleny, rozmyślającej nieraz nad tem z trwogą i zdumieniem.

— Mój Klemensiel!...—próbowała wielokrotnie zacząć w tym przedmiocie rozmowę, lecz p. Klemens wcale słuhać nie chciał.

— Wiem, co robię,—odpowiadał.—A ty, duszeczko, wiesz chyba także z doświadczenia z dawną nabytego, że wszelkich morałów i pytań nie lubię...

I na tem się kończyło.

Na kilka dni przed Świętami, odmłodzony, rozpromieniony p. Klemens witał żonę i córki po roku niebytności w kraju.

I p. Helena i dziewczęta powracały z podróży z radością. Czas zatarł powoli przebyte troski i wrażenia, na twarzach dziewcząt kwitnęły znowu rumieńce świeżości i zdrowia. A jednakże zmieniły się obie i zmiana ta była nawet dość widoczną.

Amelka przypominała piękny posąg. Zniknęła słodycz, jaka dawniej zdobiła jej rysy, oczy patrzyły spokojnie, ale tak obojętnie, jak gdyby nie spodziewała się już niczego i dobrowolnie, świadomie usuwała się od wszelkiego osobistego szczęścia.

W obejściu jej zapanowała dziwna powściągliwość; mówiła mało, ożywiła się rzadko.

Przyglądano jej się z uwielbieniem, bo istotnie urodę posiadała niezwykłą, co przecież nie usuwało myśli pewnej, szlachetny jej charakter krzywdzącej.

„Dumna jest, pyszna!—mówiono.—Podobna do ojca, który rad zawsze nad drugich się wynosi...”

Zarzut ten był niesłuszny. To ból serca, w zaraniu życia dotkniętego cierpieniem, zgłuszył w niej wszelkie żywsze, gorętsze objawy

— Jak się też Amelka zmieniła...—skarżyła się nieraz p. Helena do męża, z prawdziwym niepokojem.—Janie tłumaczy choroba, ale Mela?..

P. Klemens niedowierzając się uśmiechał.

— Zdaje ci się duszko,—odpowiadał.—A zresztą, gdyby nawet tak było, to powiem ci, że naszym dziewczętom bardzo z tą zmianą do twarzy.

Duma jego była zadowolona.

Panny Krasnohorskie podobały się ogólnie i zaciekały... A że tam matce coś się zdawało.. Matki zazwyczaj zbyt troskliwością grzeszą...

W wymienionym humorze, bo to i Malska, zostawiwszy męża w Meranie, zjechała do Warszawy, zawsze piękna i na prezesa łaskawa, i Zambrówka ledwo dyszała i prawie miał ją w rękę, p. Klemens powitał żonę i córki, nie szczędząc objawów troskliwości i czułości.

— Jakżem rad, że mam was wreszcie przy sobie...—powtarzał co chwila, krytycznym okiem obejmując nadobne postacie córek.—Ślicznie wyglądacie!.. A ile ciekawości, ile zainteresowania budzicie w naszych kółkach towarzyskich.. Malska, mówiąc nawiasem, piękniejsza niż kiedykolwiek, poeiesz się zawczasu, żeście zbyt delikatne, eteryczne i w duszy pieści marzenie, że jej nie zdetrinizujecie.. Tymczasem pieśzotki moje od najpiękniejszych róż krasy zapożyczyły.

Janina krótkie, badawcze spojrzenie rzuciła na ojca. Twarz p. Heleny pokryła się rumieńcem.

Wspomnienie Malskiej zabrzmiało jak dysonans w ogólnej harmonii.

— Czy Brunon odwiedzał was w Rzymie?—spytał po chwili p. Klemens.—Przypuszczałem, że powróci razem z wami...

— Cóż znowu!—odparła z niechęcią p. Helena.—Miałam nawet żal do ciebie Klemensie, żeś mu miejsce naszego pobytu wyjawiał...

— Czyż był zbyt natrętnym?

— Hrabia jest dobrze wychowanym człowiekiem, więc o natrętnie mowy być nie może...—mówiła p. Helena ale mi przykro, że się łudzi.

P. Klemens uśmiechnął się filuternie.

— Taki konkurent, jak hrabia, niezaszkodzi!...—odezwał się, porozumiewawczo patrząc na żonę.—A że się łudzi, to jego rzecz!

P. Helena spuściła głowę.

Zabolało ją, że mąż z taką bezwzględną nieświadomością odstaniał przed dziećmi ubóstwo ducha.

Amelka o Zarzecze spytała.

— Co się dzieje z moją szkołą, ojezuku? Czy plany moje dojrzewają i postępują naprzód?

— To ci najlepiej Dembiński opowie...—odparł.—Dzielnego egzekutora zostawiłaś w Zarzeczu. Ma on tam wprawdzie ciągle utarczki z chłopami, i rzecz cała postępuje powolnie...

Janina przytuliła się do ramienia ojca.

— A co więcej słyhać w Zarzeczu, ojezuku?

Miała teraz na głowie, zamiast dawnych warkoczy, całe bogactwo loków ciemnych, które ją do figlarnej, pieśzotliwej dziewczynki podobną czyniły.

— Co więcej?—powtórzył.—Nie wiem doprawdy, dziecko! Wpadam tam zwykle na krótko...—Oczywiście ta miła staruszczyzna Dembińska wypytuje się zawsze o ciebie, a Edward wiecznie jest zaniepokojony, czy zachowujesz się według jego i innych lekarzy wskazówek. Zdaje mu się, że wszystkie choroby, jakie trapią ludzkość, mogą sobie w organizmie twoim obrać siedlisko, jeżeli nie będziesz się starała dbać o siebie... Ale po co ja o tem mówię, w obec tych ślicznych rumieńców, które na buzi twojej kwitną, Janiu!..

Pocałował córkę a w badawczem spojrzeniu Amelki, jakim ogarniała siostrę, odbiło się rzewne, słodkie wzruszenie.

Dostrzegła rumieniec siostry, troskliwością Dembińskiego wywołany, i uradowała się szczerze. Każdy objaw taki chwyciła starannie i notowała w pamięci.

Od dnia powrotu pań, pałacik Krasnohorskich wrzał życiem.

„Święcone“ urządzano z przepychem. P. Klemens pieniędzy nie żałował, powtarzając reflektującą go żonie, jako nie należy zapominać jej o tem, że córki dorosłe na wydaniu mają.

Zastawiał się tą czułością i troskliwością ojeowską, jak parawanem, i męczył żonę i córki niesłychaną drobiazgowością nawet w kwestyi toaletowej.

— W jakich kostiumach kwestować będziecie?—pytał.—Pamiętajcie, że to wasz pierwszy występ!

— Występ, w kościele?—zauważyła zdumiona Janina.—Co też ojezulek mówi!..

Roześmiała się szczerze, pewną będąc, że ojciec się pomylił.

Ale p. Klemens rzecz wziął poważnie.

— Stanowisko wasze i uroda wszędzie zwracają uwagę...—rzekł.—Przy waszym stoliku zasiądzie również hrabina O. i księżka Y. Postarałem się o to, abyście się w odpowiednim towarzystwie znalazły...

Janina skrzywiła usta.

— Czy nie mogłabym usunąć się od tej ceremonii, ojeze?—spytała.

— Co też ty mówisz?—oburzył się p. Klemens.—Dzienniki ogłosiły już wasze nazwiska, a zresztą, cel filantropijny... Nie utrudzi cię chyba, Janiu, spędzenie kilku godzin w kościele?

— Owszem, ojezuku! Bo to tak wygląda jak gdyby się na cenzurowanym siedziało...—odpowiedziała.—Wszyscy się przyglądają i w istocie rzeczy, ta przynęta, dla miłosierdzia publicznego podjęta, dosyć jest zabawną!.. Dla tego, że wystawiamy na widok publiczny wdzięki nasze i toalety, ubodzy otrzymują datki... Ależ to więcej, niż śmieszne!..

P. Klemens niechętnie wruszył ramionami.

— Janiu, ostrożnie! Wpadasz w swój wykryk, oratorski zapał!—zauważył.—Nie myślę bynajmniej zaprzeczać, że utytułowane nazwiska i piękne twarzyczki kwestarek są dla wielu przynętą. Ale cóż w tem złego? Powiem nawet, że jest to bardzo dobrze pomyślane. Gdyby przy stolikach zasiadły ubogie lub brzydkie kobiety, nikt z naszej złotej młodzieży do kościoła by nie zajrzał... Tymczasem w obec was, nie jeden z naszych paniczek wstydziliby się wystąpić z małym datkiem, lub nie pokazać się w kościele, skoro wie o tem, że go zauważył. Pożyczy, ale banknot wartościowy rzuci, i ubodzy zyskają na tem...

Janina uśmiechnęła się szydyczko.

— To wcale niepięknie, ojezuku!—rzekła.—A że moje terażniejsze usposobienie przymusu nie znosi, więc lepiej byłoby, abym została w domu.

P. Klemens rozgniewał się nie na żarty.

— Nie kapryś, Janiu!—odezwał się z niechęcią.—Pomyśl, ile łez niedoli osuszy nieraz pieniądz... Zważ kochanie, jak mało znane jeszcze w świecie naszym jesteście, więc ciekawość sprawdzi wielu. Ofiarujesz im uśmiech, który nie nie kosztuje, spojrzenie wabne i...

— O! wcale tego nie potrafię, ojeze!—przerwała żywo Janina.—I czy to nie jest oburzające, aby szlachetniejsze, cieplejsze jakieś w piersiach uczucia wywoływać wabnami spojrzeniami i kokieterijnymi uśmiechami? Niech ojezulek będzie łaskaw, zamiast mojego współudziału w tej kwesie, ofiarować bardzo ubogim sto rubli, bo przecie stać

ojczulka na to, i będą zadowoleni nie tylko ubodzy, ale i ja...

Uwiesiła się u ramienia ojca, pieszcząc go i przytulając się, poczem p. Helena, w milezeniu dotąd słuchająca rozmowy, ostatecznie przecięła kwestyę.

— Jania jest jeszcze podróżą zmęczona, — rzekła. — W kościele chłód panuje i kilkugodzinne siedzenie jest męczące...

W obec tego p. Klemens, chociaż zirytowany, ustąpić musiał.

— Pozwalasz Jani nadto rządzić się kaprysamami... — rzekł do żony z urazą.

— Pomówimy o tem później... — odparła.

Wkrótce potem Janina została samą.

Upragnioną była dla niej chwila samotności, bo stwierdziła już wielokrotnie, że troskliwość i współczucie nawet osób najbliższych przykremsi się niekiedy stają.

Po powrocie do kraju, trudno jej było wyrwać się z koła rozbudzonych wspomnień. Serce miała przepełnione goryczą, tęsknotą. Wszystko zdawało się skupiać dla niej w tej jednej myśli pogłębiającej, że i ona, jak tyle innych kobiet, nie uniknęła rozczarowania. Przeświadczenie, że Edward, kochając Orzełską, ją przecież, Janinę, uważał jako chwilową zabawkę, upokarzało ją bezmiernie.

Nie posiadając w charakterze swoim ani słodyczy, ani odporności, pozwoliła goryczy i zwątpieniu wziąć górę ponad wszelkimi rozumowaniami i obciążając zarzutami Dembińskiego, dręczyła samą siebie.

— Mężczyźni nie są zdolni do wielkiej, prawdziwej miłości... — mówiła często do Amelki i gniewała się, że tamta poglądów jej nie uznaje.

Ach, jakże pragnęła zobaczyć go i za cierpienia, jakich był dla niej przyczyną, odwzajemnić się dumą, szyderstwem, ośmieszeniem jego wzniosłych ideałów, którym przენiewierzyłby się z pewnością dla jednego uśmiechu kobiety, dla uludnego spojrzenia.

Z gorączkową niecierpliwością oczekiwała pięknych miesięcy letnich; istniał bowiem projekt, że panie spędzą lato w Zarzeczcu, mając już dosyć rocznego zagranicą pobytu.

Im więcej tęskniła i miłość coraz głębiej zapuszczała korzenie w jej sercu, tem więcej irytowała się, oburzała, a ukrywając się starannie przed matką i Amelką, stokroć silniej cierpiała.

— Więc ja istotnie tak gorąco przywiązałam się do niego? — powtarzała sobie i teraz, a świadomość, że poddała się uczuciu temu bezwzględnie, podrażniła ją. — Muszę się wyleczyć!... — zawołała zrywając się z kanapki. — Muszę. To chwilowe obłąkanie przemienie wkrótce... Niechby już tylko raz ożenił się z tą swoją Orzełską!...

Gorączkowo zaczęła przebiegać salony, szukając rozrywki jakiejś dla zmęczonego umysłu. Z początku bezmyślnie, potem jednakże z zastanowieniem pewnym, wzrok jej ogarniać począł otaczające ją przedmioty.

Uderzył ją zbytek panujący wszechwładnie w apartamentach rodziców.

Jak tu wszystko było gustowne, estetycznie zadawalające i wspaniałe!

P. Klemens nawet w wyborze drobnostek nie kierował się zwyczajem, a raczej skłonnością dorobkiewiczów. Każdy najdrobniejszy szczegół w jego salonie posiadał wdzięk artystyczny.

Najpiękniejsze utwory nowoczesnych malarzy, rzeźby, gobeliny, meble stylowe, kosztowny zbiór sztychów, rzadkie rośliny i śliczne odmiany kwiatów, wszystko to, zgromadzone było i rozmieszczone w umiejętnem ugrupowaniu.

Podczas pobytu żony i córek zagranicą, p. Klemens zmienił lokal i całe prawie urządzenie domu.

P. Helena przyjęła to westchnieniem, córki obojętnie, co niemal do rozpaczki doprowadzało prezesa. On przecież czuł się przepychem tym olśniony.

Przy łagodnym świetle jasnego dnia wiosennego, Janina z pewną dumą teraz rozglądała się w około.

Duma ta nie wyłączała jednak głębokiego zdumienia.

To co widzi przed sobą, nielada sumy kosztować musiało... A przecież rodzice nie byli tak bardzo bogaci... Razu pewnego nawet wpadły jej w ucho przypadkiem zasłyszane w towarzystwie słowa: „Największym wdziękiem panien Krasnohor-

skich jest ich uroda, bo posag przy szalonych eks-pensach prezesa to rzecz nader problematyczna.“

Zkądże więc czerpie ojciec te ogromne sumy, które obraca nieledwie na zbytki, bo czyż nie jest zbytkiem ten przepych w około, liczna służba, podróż?

Rozmyślania te przerwała wchodząca pokojówka Józia. Dźwigając w rękach olbrzymi bukiet fiołków, uśmiechała się filuternie.

— Z Zarzeczca, panienczko! — wołała zaraz ode drzwi. — Już nie wiem, jak je tam wiozł ogrodnik, bo wcale nie zwiedły i nie pogniotły się w drodze. To p. Dembiński przysłał, proszę pani.

Janina zaczerwieniła się.

Z uczuciem ledwo stłumionej radości wyciągnęła rękę po kwiaty.

— Ach, jakie wonne, jakie śliczne! — rozkoszowała się, wsuwając swój zgrabny nosk pomiędzy fiołki. — Zkądże ci znowu ta myśl, że to p. Dembiński przysłał? Przecież to nasze, zarzeckie fiołki?...

— Już ja wiem, co mówię panienko! — śmiała się filuternie dziewczyna. — Ogrodnik opowiadał, że p. Dembiński przyjechał wczoraj do Zarzeczca i pilnował, póki ogrodnik nie zebrał i nie zapakował fiołków. Każdy kwiatuśzek sam oglądał i układał.

— No dobrze już, dobrze! — szepnęła spłoniona dziewczyna. — Jak ty lubisz dużo mówić...

Pragnęła pozbyć się służącej jak najprędzej i zostać samą.

— Czy nie było listu? — spytała jeszcze.

— Nie panienko. P. Dembiński kazał kwiaty oddać i pokłonić się państwu.

Dziewczyna wybiegła, Janina przycisnęła kwiaty do piersi.

Więc pamiętał! a ona mu złorzeczyła, odpychała wspomnienia, czuła żal bezmierny!

Radość jej krótko jednak trwała.

— Z pewnością piękniejszy jeszcze bukiet posłał Orzełską... — szepnęła, odrzucając kwiaty z niechęcią.

Wonne fiołki rozsypały się po barwnym pluszowym kobiercu wzgardzone, odepchnięte.

Janinie samotność poczęła teraz ciężyć. Żałowała, że nie pojechała z rodzicami. Może widok nowych postaci byłby ją rozweselił, oderwał myśl...

Ukryła twarz w dłoniach i skulona na kanapce, kłaka cicho, jak dziecię rozżalone.

Dzień ten atoli chował dla niej jeszcze jedną niespodziankę.

Ledwo miała czas uspokoić się trochę, pokojówka Józia wsunęła się powtórnie do pokoju.

— Panienczko, — odezwała się nieśmiało, — w przedpokoju czeka jakaś pani, która ma wielką prośbę do pani.

— Do mnie?

— Tak, panienko! Mówiłam, że jaśnie państwo wyjechali, a ona dowiedziawszy się, że jest tylko pani — rzekła do mnie: „To jeszcze lepiej; młode panny mają zwykle litościwe serca...“ i już mi odporu nie dawała, wysyłając do pani.

— Pewno prośba o jaki pieniężny datek, — zauważyła obojętnie Janina.

— Boże ucho! — zaprzeczyła Józia. — To bardzo porządna pani. Przychodziła podobno do jaśnie pana już kilka razy, ale jaśnie pan nie kazał przyjmować...

— A więc i ja nie mogę... — odparła Janina.

Ale pokojówka nie ustępowała.

— Panienczko, — mówiła z przejęciem, — ta pani wcale nie jest z takich, co to wydłubać pieniądze przychodzą. Ją musiało spotkać nieszczęście... Mąż jej pracował w biurze u naszego pana...

— Czemuż mi odrazu tego nie powiedziała? — zawołała Janina. — Poproś tę panią do gabinetu pana, przyjdę tam zaraz...

Po odejściu pokojówki, otarła starannie oczy, poprawiła włosy i zaciekawiona udała się do gabinetu ojca.

Niemłoda, o sympatycznych rysach twarzy kobieta zjawiła się wkrótce przed nią, poprzedzona przez Józję, która pochwałami, wygłaszanymi ze szczerem uczuciem na cześć Janiny, dodawała jej otuchy.

Oczy jej, głęboko wpadłe i bardzo smutne, spojrzęły badawczo na stojącą przy biurku ojcowskiem Janinę i rozjaśniły się powoli.

Szlachetna piękność dziewczęcia wzbudziła w niej zaufanie.

Janina też jednym rzutem oka odgadła, że nie jest to żadna z tych istot, które wyciągają rękę po jałmużnę, lub wymyślone na prędce nieszczęściem usiłują wzbudzić współczucie.

Odziana była skromnie, ale z pewnym gustem i starannością. W obejściu jej nie było śladu unizoności, ani załęknienia. Ze swobodą kobiety, nawięcej do wymagań towarzyskich, przeprosiła Janinę, że ośmiela się obecność swoją jej narzucać, i chociaż wzruszenie głos tłumilo, usiłowała mężnie pokonać je.

— Jestem Drobińska — rzekła, nie spuszczaając oczu pod badawczym spojrzeniem pięknej panny. — P. prezes w biurze przyjął mnie nie chciał, tak jak i tutaj... Wiem, że znowu dziś tu wtargnąwszy, narazam się na gniew sroższy jeszcze... Mimo to, postanowiłam spróbować...

— O cóż pani chodzi? — spytała Janina, wskazując jej krzesło. — I czy ja będę mogła pomódz pani w czemkolwiek?

— Skoro pani zechce... — szepnęła nieśmiało. — Słowo przychylnie, wypowiedziane w mojej sprawie przez panią, z pewnością większe będzie miało znaczenie, niżeli moje błagalne prośby...

— A więc? — pyta Janina zaciekawiona. — Słucham panią.

Po twarzy Drobińskiej przepłynął rumieniec. Oczy jej utonęły w pięknej twarzy dziewczyny z widoczną przykrością i żalem.

Widać było, że z trudnością przychodzi jej wypowiedzieć, z czem przysłała i waha się...

Odetchnęła głęboko.

— Pożyczyłmi p. prezesowi niewielką sumkę jeszcze przed sześcioma laty... — szepnęła, opuszczając wzrok ku ziemi. Nie chciała patrzeć, jak to białe, wyniosłe czoło stojącej przed nią wytwornej panny pokryje się rumieńcem upokorzenia i wstydu. — P. prezes, — ciągnęła dalej — obiecał nam wypłacać procent regularnie, czego przecież nie dotrzymał, a co dla nas, nie posiadających niczego ponad ten niewielki fundusik, stanowi przykrość i stratę niemałą...

Zatrzymała się zmieszana, Janina zdumiona patrzyła na nią.

— Pani się myli chyba? — zauważyła łagodnie. — Mój ojciec nadto sam jest bogaty, aby potrzebował pożyczać...

Tak jej się to nieprawdopodobnem wydało, że się mimowolnie rozśmiała.

— Doprawdy, musiała tu zajść jakaś pomyłka...

Drobińska spojrzała na nią ze smutkiem.

— Prawdę mówię... — odparła szczerze. — P. prezes wziął od nas 8,000... Kapitalik ten zobowiązał się oddać po latach czterech... Sześć upłynęło, a my w pierwszym roku tylko otrzymywaliśmy procent... Wprawdzie p. prezes w biurze swoim ofiarował zajęcie mojemu mężowi, ale on chory od lat paru i korzystać z tego dobrodziejstwa nie może.

Janina musiała wreszcie uwierzyć.

— Co to jest? — powtarzała. — Co to znaczy?

Drobińska aż się przeleżała, tak delikatna twarz dziewczęcia bólem się skurczyła i zbladła.

— Przepraszam panią... — wyszeptęła składając dłoń.

— Nie chciałam sprawić pani przykrości... Dzieci mamy czworo, mąż złożony chorobą... Niepodobna było radzić sobie dłużej... Gdyby p. prezes cokolwiek chociaż udzielił raczył, niechby procent tylko zaległy... Ale nigdy nie miałam szczęścia zobaczyć się z nim, nieodmiennie odpędzana ode drzwi przez woźnych w biurze, lub tutaj przez lokajów...

Głos jej drżał i widać było, że boli ją traktowanie prezesa lekceważące i okrutne.

Janina opadła ciężko na fotel.

— Pozwól mi pani zebrać myśli... — szepnęła.

Milezenie zaległo bogaty gabinet p. prezesa.

Oczy Drobińskiej ślizgały się po otaczających ją przedmiotach zbytku z dziwnym wyrazem i uśmiech pół litośny, pół pogardliwy błakał się na jej ustach.

Po długiej chwili, Janina ocknęła się. — Twarz jej wygładziła się, rysy nabrały godności i spokoju. Zdawało się, że naraz urosła, spoważniała...

— Szanowna pani! — rzekła, ujmując serdecznie ręce Drobińskiej. — Jestem pewną, że zaszło tu jakieś nieporozumienie... Ojciec nie wiedział prawdopodobnie, kto pani jeste i dla tego nie chciał się z nią widzieć... Tyle osób zjawia się niemal co-

dziennie... każdy o coś prosi, a niepodobieństwem jest przecie zadowolić wszystkich... Dziś jeszcze pomówię z ojcem i pewną jestem, że rzecz się wyjaśni... Zostaw mi pani swój adres; zawiadomę natychmiast o rezultacie i o ile można najprędzej otrzyma pani należność swoją...

Drobińska nie podzielała przecież złudzeń i nadziei Janiny.

— Racz pani pamiętać — odezwała się nieśmiało, — że pozbawieni jesteśmy wszelkich środków do życia. Nawet lekarza wezwać nie mogę, bo nie miałabym czem go wynagrodzić... Święta nadchodzi... tyle potrzeb...

— Powtarzam, niech pani będzie spokojną — odparła stanowczo Janina. — Pieniądze zwrócone zostaną w najmożliwiej szybkim przeciągu czasu... Bądź pani cierpliwa, proszę!

Uścisnęła życzliwie dłonie Drobińskiej i odprowadziła ją do drzwi.

Ani na chwilę nie opuściła ją już moc panowania nad sobą, a przecież serce targało się w takim bólu rozpaczonym, jak gdyby naraz zniknęło dla niej światło i wzrok ociemniały błakał się w przestrzeni.

— O! — jęknęła głucho, gdy drzwi za Drobińską się zamknęły. — Są rzeczy, które bolą srożej, niżeli miłość nieodwzajemniona, niżeli sieroctwo nawet...

(Dalszy ciąg nastąpi).

RUCH MUZYCZNY.

Uroczystość, jaką w dniu 25 b. m. obchodzi muzykalna Warszawa, zasługuje, aby o niej obszerniejszą na tem miejscu dać wzmiankę. Wspomina liśmy już o 25-letnim jubileuszu towarzystwa Muzycznego; dziś, zaznaczywszy, iż koncert jubileuszowy odbędzie się w kwietniu, przystępujemy do streszczenia dziejów tej pierwszej instytucji muzycznej u nas, kreśląc je na podstawie danych, z urzędowego źródła pochodzących.

Komitet Towarzystwa Muzycznego w Warszawie, założonego w r. 1871, wydał sprawozdanie jubileuszowe z ćwierćwiekowej swej działalności, która, pomimo różnych kolej jakie przechodziła, wyszła zwycięsko z chwilowych niepowodzeń i częstokroć nieprzyjaznych okoliczności.

Sprawozdanie przytacza naprzód instytucje muzyczne, poprzedzające nasze Towarzystwo.

W 1801 r. Prusacy założyli stowarzyszenie niemieckie p. t. „Harmonie-Gesellschaft,” a następnie drugie, nazwane: „Statuten für das Musikalische Institut der Harmonie Gesellschaft zu Warschau.”

Równocześnie za inicjatywą hr. Krasińskiego powstało nowe stowarzyszenie, mieszczące się pierwotnie w pałacu Ogińskich. Następnie przeniesione zostało do pałacu Mniszka (dzisiejszej Resursy kupieckiej), pod nazwą „Resursa muzyczna.” Dyrektorami byli Hoffman i Wobser; koncerty dawano co niedziela.

W 1806 r. dwa pierwsze stowarzyszenia muzyczne upadły, bo skutkiem bitwy pod Jena panowanie Prusaków w Warszawie się skończyło.

W 1815 r. powstaje „Towarzystwo przyjaciół muzyki kościelnej i narodowej,” ale byt jego zaledwie dwie lat 14 liczył, w ciągu których wykonywano utwory religijne w kościele XX. Pijarów.

W następnych latach kuszono się kilka razy o zawiązanie stałego Towarzystwa muzycznego, wszystko to było bezskuteczne, brakowało tam bowiem energii i wytrwania.

Znalazł się jednak mąż silnej woli i zadziwiającej wytrwałości, który sprostał tak trudnemu zadaniu.

Tym znakomitym mężem był Władysław Wiślicki (ur. 1829—1889 r.) nauczyciel muzyki.

W gronie artystów i amatorów zjednał sobie kilkunastu ludzi dobrej woli, z pomocą których rozpoczęte dzieło szczęśliwie doprowadził do końca.

Dnia 15 stycznia 1871 r. zaproszono znane osoby na członków Towarzystwa, a tych liczba zaraz

doszła do 307 pfcii obojga, kapitał zaś wynosił 4,268 rubli.

Pierwszą czynnością obranego komitetu było urządzenie wygodnego lokalu, co też jak najstaranniej dopełnione zostało, a pierwszy dwutygodniowy wieczór odbył się 19 kwietnia 1871 r. z bardzo zajmującym programem.

Po roku istnienia, Towarzystwo zamknęło rachunki rezydentem w ilości r. 2,886, członków liczyło 1,069.

Rok 1872 rozpoczynał się świetnie, rozporządzało funduszem dość znacznym, wyznaczono sumy na konkurs i stypendya, ale w końcu roku skutkiem zalegających w opłatach składek członków, okazał się deficyt wynoszący rs. 258 kop. 81.

Lata 1873, 1874 i 1875, smutnie się przedstawiają w historii Towarzystwa; niewypłacalność członków i różne nieprzyjemne okoliczności, zagroziły jego bytowi.

Na domiar złego ogólne zebranie znalazło się w niezgodzie z komitetem, co wpłynęło bardzo szkodliwie na sprawy Towarzystwa.

Wiślicki w tych trudnych okolicznościach dał dowody wielkiej siły charakteru i cywilnej odwagi, sam jeden stawił czoło tylu nieprzyjemnościom i uratował chwilejące się Towarzystwo.

Na prezesa obrano hr. Janusza Roztworowskiego, na dyrektora Józefa Wieniawskiego.

Nowy komitet niemało miał do zwalczenia trudności, jednak dyrektor Wieniawski nie stracił odwagi, użył wszelkich możliwych środków aby dla Towarzystwa wróciły świetne czasy. Dla oszczędności, grywał darmo na koncertach dwutygodniowych, sam akompaniował solistom, zachęcał artystów do przyjmowania udziału w wieczorach Towarzystwa. Słynny dziś Paderewski, Michałowski, Cieslewski, Noskowski i wielu innych za bajecznie niskie wynagrodzenie, występowali na estradzie.

Ale, o ile artystyczna strona Towarzystwa wrazała, to znów interesy finansowe źle się przedstawiały, zbyt wiele wydawano pieniędzy na stypendya, na wydawnictwa niepotrzebne, dał się też czuć brak funduszy, a dyrektor Wieniawski, widząc że wszelkie jego usiłowania są daremne, podał się o uwolnienie od obowiązków.

Po ustąpieniu Wieniawskiego bierze kierownictwo instytutu Władysław Zelenki, który gorliwie się zajął sprawą muzyczną wprowadzając jak najzbawiennejsze reformy; rezultaty zdawały się świetną zapowiadać przyszłość, ale niestety, pojawia się nowa przeszkoda. Dyrekcja teatralna wymawia Towarzystwu lokal, a najęcie i urządzenie nowego w Resursie obywatelskiej 6,000 rubli kosztuje; był to cios dotkliwy dla finansów Towarzystwa.

Zelenki nie upada na duchu, czyni co tylko może, aby ratować upadającą instytucję, ale widząc, że zabiegi jego są próżne, że nie zwalczy coraz to większych przeciwności, złożył władzę dyrektorską, kilku z jego kolegów należących do komitetu zrzekło się także swoich obowiązków, więc nowo obrany komitet wezwał na godność dyrektora Zygmunta Noskowskiego.

Nowy dyrektor znalazł się w trudnych okolicznościach, rozpoczął więc swoją działalność od zaprowadzenia ścisłej oszczędności i różnych zmian w kierownictwie artystycznym. Komitet uznawszy te projekty za sprzyjające rozwojowi instytucji, zatwierdził wszystkie.

Pomimo to, nowe przeciwności, nowe przeszkody tamują rozwój instytucji, która ciągle walczy ale nie upada.

I znów następują kłopoty z lokalem, a tem samem niewygody, pomieszczenie nieodpowiadające potrzebom i wymaganiom. wszystko to krępuje działalność nowego dyrektora

Pozostali członkowie przedsięwzięli do ostatka bronić sprawy Towarzystwa, a skoro komitetowi udało się otrzymać od dyrekcji teatralnej pierwotny lokal w salach rezydentów, zdawało się, że i zwycięstwo pewne. Ale nie tak to łatwo przyszło, trzeba było dużo zabiegów, dużo trudów, aby poprawić stan finansów, a wszystko się rozbiło o ten brak.

Rok 1888 zaznacza pewne polepszenie pod względem zwiększenia się liczby członków i funduszy.

W 1889 r. Towarzystwo wielką poniosło stratę przez śmierć Władysława Wiślickiego, który do ostatniej chwili troskał się o byt i pomyślność swego dzieła.

Komitet podwaja usiłowania, wyszukuje środków do powiększenia dochodów, a dążności te nie są bezowocne.

Za staraniem dyrektora Noskowskiego, wieczory Towarzystwa coraz świetniej się przedstawiają, na estradzie występują wstawieni artyści, za inicjatywą tegoż dyrektora wytwarza się doskonały chór męzki; tłumy zalegają obszerną salę koncertową, liczba członków się powiększa, prasa coraz życzliwiej się odzywa, finanse się wzmagają, słowem przyszłość Towarzystwa zdaje się być zapewnioną.

Tego spodziewanego odtąd i coraz większego powodzenia należy z całego serca życzyć sympatycznej instytucji, która dominuje w naszym świecie artystycznym, ubogo wogóle się przedstawiającym.

W r. 1895 budżet towarzystwa wykazał dochodu rs. 7,616 kop. 22; wydatków rs. 5,933 kop. 18, czyli więc zysk dał rs. 1,683 kop. 4.

Z dniem 31 grudnia 1895 r. Towarzystwo liczyło członków 905.

W operze naszej rozpoczął znowu gościnne występy znakomity baryton, Battistini, który przed pół rokiem stworzył wyborną postać „Hamleta” Thomas’a. Śpiew tego artysty rzeczywiście entuzjastycznie i barwa głosu, miękkość jego, przedziwna emisja, świetność wymowy i deklamacji — słowem wszystkie przymioty wytrawnego mistrza wokalnego znajdują się w interpretacji Battistiniego.

Byłby obecnie dzielnym ten artysta osamotniony, gdyby mu nie sekundowała w pięknych operach Mira Hellerówna. Przepysznie też wypadła „Faworyta” Donizetti’ego w wykonaniu tej wykwintnej pary śpiewaków. Battistini czarował męskością swej wspaniałej interpretacji, Hellerówna zachwycała bogactwem swego głosu, z pięknnością i szlachetnością traktowania trudnej partii. Zaznaczyć wypada stylowe kostiumy artystki było to istotnie arcydzieło sztuki, zdumiewające maestryą i bogactwem.

Na jednym z ostatnich koncertów towarzystwa muzycznego wystąpiła wyborna pianistka francuska, p. Klotylda Kleeberg. Jestto artystka młoda, za ledwie trzydzieści lat licząca, uczennica pani Massart. Rozgłos zyskała p. Kleeberg w Niemczech, gdzie pierwsze pochwały o grze jej wypowiedział znakomity krytyk niemiecki, prof. Ehrlich, który do wzięcia w tej mierze się wyraził: „Wśród amazońki muzycznych — pisał — czy też wśród pionierki fortepianowej emancypacji kobiet, daje się zauważyć dziwne zjawisko. Nigdzie niema mniej kobiecości, jak w tej kobiecej interpretacji.” Przytacza również ten krytyk na dowód charakterystykę gry, polegającej na mocy i temperamencie prawdziwie męskim.

Interpretacja p. Kleeberg podobała się bardzo naszej publiczności. Artystka wykonała: sonatę *es-dur* Beethvena, Nokturn *h-dur*, Impromptu *fis-dur* i Etiudę *f-dur* Chopina, Etiudę Moszkowskiego i Kaprys Saint Saëns’a; wszystko było nacechowane wytwornością i nieposzlakowaną czystością prawdziwie szlachetnej interpretacji fortepianowej.

Teatr Mały wznowił z olbrzymim powodzeniem „Dziesięć cór na wydaniu,” Suppego, gdzie między innymi p. Kawecka, młoda śpiewaczka operetkowa, popisuje się... „gwizdaniem.” Trzeba przyznać, że sztukę tę doprowadziła p. K. do doskonałości.

Adam Dobrowolski.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

(Zyzma, powieść Sewera, i drobne nowele).

Drukowana w jeszcze w 1884 i na początku 1885 roku w „Ateneum” powieść Sewera p. t. *Zyzma* dopiero teraz doczekała się pierwszego wydania książkowego, będąc w ten sposób przez dziesięć lat z górą nieznaną szerszemu ogółowi. A jest to bądźco bądź jedna z cenniejszych prac znakomitego autora, odznaczająca się przedewszystkiem dwiema zaletami wewnętrznymi: doskonałą psychologią głównej postaci i niezmiernie obrazową charaktery-

styką wrogich lub przyjaznych dla miejscowej ludności żywołów wśród społeczeństwa żydowskiego w Galicyi. Z bohaterem powieści, żydem Zyzmą, zaznajamiamy się poraz pierwszy w ogłoszonej o wiele wcześniej nowelce p. t. *Nad brzegiem Rudawy*, gdzie staje on przed nami jako wyrostek, handlujący skórkami zajęczami lub skupowanymi po dworach gazetami, które chętnie czytuje; wówczas już zdradza on pewną wolnomyślność, bynajmniej nie licującą z przesadami żydków, mieszkających po wsiach i małych miasteczkach galicyjskich, a odziedziczoną prawdopodobnie po ojcu, wyklętym przez kahał za swą postępowość; prześladowany przez macochę i odrzucony przez wiejską dziewczynę, z którą chciał się ożenić, oczywiście zmieniając religię, rzuca wioskę i rusza w świat, zacierając wszelki ślad po sobie. Dopiero w obecnej powieści spotykamy się z nim znowu, jako z człowiekiem dojrzałym, pełnym energii i siły woli, pracującym w Wiedniu przy „Nowej Presie“ i dążącym wytrwale do celu swych marzeń, t. j. do zrobienia miliona. Wprawdzie takiej sumy nie udało mu się zyskać, ale, podchwyciwszy tajemnicę Rotszyldów w kampanii giełdowej przeciw innemu bankierowi, grą na niżkę na giełdzie wygrywa odrazu kilkadziesiąt tysięcy guldenów, czem nagle zyskuje szacunek u tych, co go dotychczas lekceważyli, i jako korespondent „Nowej Presy“ udaje się do Lwowa, dokąd go wysłał redaktor tego dziennika, zdoławszy w niewykształconego w gruncie rzeczy i nie mającego pojęcia o stosunkach rasowych żyda wmówić konieczność rozwoju rasy semickiej ze szkoda dla innych narodowości. Przejęty wielkością misji dziejowej swego narodu Zyzma osiada we Lwowie, gdzie wobec różnorodnych prądów i partyi wśród samych żydów widzi się nagle postawionym w niezmiernie drażliwym położeniu, z którego nie wie narazie, jak wybrnąć. Gdy nieprzyjaciele polskość, hołdujący cywilizacji niemieckiej ze starym Topazem na czele witają go jako jednego z bojowników z pod sztandaru Nowej Presy, zacniejsza młodzież żydowska, dążąca do jedności obu ras, grozi mu w szlachetnym oburzeniu, zaś tacy jak Blum, upatrujący we wszystkim tylko własne korzyści, poznawszy bliżej Zyzmę i przekonawszy się, że nie posiada on jeszcze bynajmniej jasno wytkniętej drogi i celu przed sobą, wyzyskuje go najhaniebniej we własnym interesie.

Ostatecznie atoli Zyzma, w którym szlachetniejsze pierwiastki duchowe zwyciężają, stanowczo przechyla się na stronę młodych i podnosi wraz z nimi sztandar jedności i bratniej obu warstw społecznych zgody, a obok tego usiłuje oddziaływać na ciemne masy swych współwyznawców, pragnąc widzieć ich ukształconymi i pożytecznymi członkami społeczeństwa, wśród którego żyją, a chociaż za te usiłowania znaczne przelewa nawet krew swoją, bowiem jeden ze sfanatyzowanego tłumu żydów zadaje mu ciężką ranę nożem, atoli nie schodzi z raz obranej drogi i ozdrowiawszy, znów dalej prowadzi raz po czętą pracę z głęboką wiarą w jej pożyteczność dla obu narodowości.

Zyzma jest niewątpliwie jedną z celniejszych prac Sewera, który w niej, jak i w dwóch innych, jeszcze powieściach: *Słowa a czyny* (1890) i *Nafta* (1894) doskonale umiał zobrazować rozmaite prądy społeczne w Galicyi. W Zyzmie występuje wprawdzie tylko żywoł żydowski, ale skreślony z taką obrazowością i prawdą, że występuje on odrazu w całej pełni przed oczyma czytelnika. Jeśliby już koniecznie chodziło o uczynienie w tej kwestyi jakiegoż zarzutu autorowi, to chyba ten tylko być tu może, że zbyt pobieżnie, ogólnikowo naszkicował on owe ciemne pełne fanatyzmu i zacieklności masy żydowskie, co wobec starannego wycieniowania partyi postępowych jest nieco rażące.

Również ubocznie tylko potrącił tu autor o arystokrację miejscową, ale to znów jest zupełnie usprawiedliwione, gdyż ani założenie powieści, ani tok wypadków następujących po sobie nie pozwalały żadną miarą na szczegółowszy jej zarys. Zyzma zdjęty litością opiekuje się hrabiną wdową, odpechniętą przez całą rodzinę arystokratyczną za popępniony mezalians, i zakłada sklep jedynie po to, by w nim mogła ona znaleźć uczciwą pracę razem z kuzynką jego, żydówką Sali, z którą autor zaznajamia nas już w nowelce p. t. *Franus Walczak* (1883); o ile więc „pani“ jest w powieści ogniwem pomiędzy światem reprezentowanym przez Zyzmę

a arystokracją, o tyle można było lekko naszkicować tę ostatnią z uwzględnieniem także tych wypadków, gdy arystokrata, dajmy na to, pan hrabia w kwestyach ekonomicznych kraju stoja się z takim np. przebiegłym Blumem albo mniej sprytnym Fuksem. Jako charakter postać głównego bohatera pod względem konsekwencji w malowaniu rozmaitych objawów w duchu jego zachodzących jest wykonana bez zarzutu. W Zyzmie kreśli autor dodatni typ żyda, który wprawdzie niejednokrotnie staje się nieświadomie narzędziem ku złemu w rękach innych ludzi, stacza z sobą nieraz długie i rozpaczliwe walki, ale ostatecznie mocno staje na gruncie uczciwym, jasno go sobie określiwszy. Ważną zaletą autora w powieści jest obiektywizm, z którym maluje on stosunki, prądy i osobniki wśród sfery żydowskiej, podając z zupełnym spokojem fakty takimi, jakimi są one w rzeczywistości. Taka bezstronność autora podnosi wartość utworu ogromnie, dając z jednej strony możność wiernego odwzorowania dodatnich i ujemnych stron poruszanych kwestyi albo występujących charakterów, a z drugiej budząc wielkie zaufanie czytelnika do autora, który w takim tylko razie może być pewnym większego wpływu na społeczeństwo.

Obok powyższej powieści jednocześnie ukazały się w drugim wydaniu nowelki sielskie Sewera z dołączeniem krytycznej pracy Piotra Chmielowskiego, rzucającej doskonale światło na rozwój talentu i dotychczasową działalność literacką znakomitego powieściopisarza. Na wydanie to złożyły się trzy nowelki na tle ludowym osnute, a stanowiące częścią jeno prac ludowych Sewera, który się w nich prawdziwym artystą i znawcą duszy wieśniaczej okazał.

Pierwszą z kolei nowelą jest tu *Zosia Żórawianka*, napisana w formie listownej, a zawierająca w sobie krótkie dzieje miłości młodego właściciela wioski i jedynaczki zamożnego chłopa. Zosia Żórawianka, jak się zdawało, gorąco umiłowana panicza, atoli niespodziewanie po pewnym przeciagu czasu, gdy się nadarzyła sposobność, przelewa swoje uczucie na leśniczego, który stanem swym i poziomem wykształcenia był nierównie odpowiedniejszą partją dla dziewczyny, jak również dla Stanisława właściszem będzie małżeństwo z ukształconą i poetyczną Lolą, mieszkanką Warszawy. W nowelce tej uderza nas odrazu jeden rys ważny, cechujący wszystkie wogóle prace Sewera, a mianowicie realizm, wypływający z doskonałej znajomości autora natury człowieczej i trzeźwego a rozumnego zapatrywania się na te wszystkie okoliczności, wśród których ludziom żyć przychodzi. Atoli nie jest to ów realizm, jaki spostrzegamy u wielu zdolniejszych nawet nowelistów w początkach bieżącego okresu literatury, który możeby pozytywnym nazwać się godziło, realizm, wyłączający wszelką poezję ducha i kreślący człowieka zbyt jednostronnie, bo jeno ze strony materialnej, zmysłowej. Sewer zaś nie zamyka oczu na stronę zacniejszą, jaśniejszą i rad wyzyskuje to wszystko, co drzemiac w ukryciu w głębi piersi ludzkiej, w stosownych chwilach daje znać o sobie, świadcząc wobec uważnego i bezstronnego myśliciela, że człowiek nie jest jednakże tylko „zwierzęciem człowieczem.“ Sewer jest mistrzem w kreśleniu wiejskich obrazków pogodnych słonecznych, wiosnianych, obrazków, w których realizm jego ukazuje się w dziwnie powabnym, barwnym oświetleniu, przepromieniającem nawskroś bogato uposażoną duszę wieśniaczą; zwłaszcza po mistrzowsku umie autor malować przyrodę wiejską a na jej tle dodatnie charaktery i typy kobiece, jak to np. widzimy w prześlicznej nowelce *Łusia Burlak* (pierwszym utworze ludowym Sewera, napisanym w r. 1878). Tytułowa bohaterka jej — to młoda dziewczyna wiejska, pełna życia, swobody i głębokiej miłości do wioski rodzinnej. Oddana na naukę do klasztoru w Krakowie przez nauczyciela wiejskiego, który pragnie się z nią ożenić, żyje tylko wspomnieniem jasnej przeszłości swojej i miłością do ubożego chłopca z tej samej, co i ona, wioski, Staśka Zawrzyhaja. Przybywszy po rocznym pobyście w klasztorze do domu, Łusia ku wielkiemu zgorzzeniu nauczyciela chętnie zastępuje suknie pańskie, w których musiała chodzić w Krakowie, wieśniaczą spódnicą i z taką samą jak ongi rozkoszą i wesołym uśmiechem na twarzy zabiera się do pracy fizycznej na polu lub około gospodarstwa do-

owego, a w końcu ostateczną daje odprawę niefortunnemu konkurentowi, postanawiając czekać na powrót ze służby wojskowej umiłowanego Staśka. Łusia Burlakówna jest jednym z najpiękniejszych typów prostej a serdecznej dziewczyny wiejskiej, o niesłychanie bogatym uposażeniu duchowym.

Podobny do tego typ, pełny niespożytej siły i energii, stworzył Sewer jeszcze poraz drugi w kilkanaście lat później, dając nam najpiękniejszą w swym wdzianku poetycznym nowelkę p. t. *Wiosna*.

Trzecim nakoniec utworem w tym zbioru jest nowela p. t. *Zalotnica*, której główna bohaterka, dziewczyna wiejska Maryna jest doskonale pochwycionym z natury okazem wiejskiej zalotnicy młodej, umiejacej z przedziwną zręcznością wyzyskać sentymenty panicza na swą korzyść. I tu, jak wogóle we wszystkich drobnych utworach ludowych Sewera, uderza nas przedewszystkiem owa świeżość kolorytu i słoneczne oświetlenie, w którym ukazują się postacie, wychodzące z pod pióra autora niezmiernie sympatycznymi; taką jest właśnie i Maryna porzimo całej swej zalotności względem panicza, od którego chce dostać krowę, cel swych najgorętszych pragnień; a sympatya owa budzi się w duszy czytelnika dlatego właśnie, że tu spotyka się on nie ze wstrętnym często flirtem salonowym osobników znużdzonych życiem i zepsutych, ale z naturalnym zupełnie objawem zalotności pełnej życia i prostoty dziewczyny, nie dającej się wywieść poza granice, zakreślone ściśle moralnością ludu.

Takimi są w najnowszym wydaniu dawniej już napisane utwory Sewera, świadczące pochlebnie o silnie rozwiniętym poczuciu prawdziwego piękna w duchu autora, który z pogodą i spokojem patrzy na życie i wierzy niezłomnie, że niema w naturze takiej brzydoty, z którejby się nie dało wykrzesać iskry istotnej piękności.

J. Nitowski.

List z Anglii.

Mieliśmy tu zimę niesłychaną i z tego powodu niemało nieszczęść, bo ruch pracy zatamował się znacznie, co dawało się odczuwać najciężej klasom pracującym, które i bez tej klęski nie spoczywają na różach. Trzeba być w Londynie i przejrzeć niepowierzchnie jego zaułki, aby zrozumieć ile niedoli, ile nędzy ludzkiej jest w tej bogatej Anglii i kto zwiedzi gruntownie jedną z dzielnic starego Londynu, Whitechapel, zrozumie dopiero w jakich to warunkach człowiek żyć jest zdolnym. Biuro statystyczne wykazało, że w Londynie zmarło z głodu w ubiegłym roku 1895 trzydzieści dziewięć osób i to pod boki najwyższych bogaczy, najwspanialszej wytworności. Rothschilda złoty serwis stołowy oceniają na 100,000 funtów szterlingów a nie on jeden posiada tu takie rzeczy. Nakrycie stołowe margrabiego Bredallane także złote jest jeszcze kosztowniejsze i przynajmniej mu wartość 120,000 fun. szterlingów a nakrycie królowej Wiktorii oceniono na 800,000 funtów, serwis zaś deseryjowy z porcelany sewskiej, mieszczący się w Windsorze na 100,000. Przecież nietylko w Anglii znajdują się takie rzeczy, Ameryka nie chce zostać w tyle i jest w Nowym Yorku dwunastu takich bogaczy, z których każdy posiada nakrycie stołu, wartujące razem 600,000 funtów szter., co znaczy pojedynczo około 50,000 funtów.

Nietylko przecież w tym kierunku bogacą się tu ludzie, bo umieją cenić i wartości inne, właśnie w tym czasie dom należący niegdyś do uczzonego filozofa, Tomasza Carlyle, stojący w starej dzielnicy Londynu, Chelsea, został nabyty na własność narodu angielskiego i urządzono w nim muzeum pamiątek po szlachetnym tym myślicielu, którego filozofia dawała ludziom wzniosłe pojęcie życia i jego celów, a występuje tu rys jeden charakterystyczny. Szacunek książki złączony ze wspomnieniami młodości sprawił, że nawet wszystkie podręczniki szkolne, gramatyki łacińskie, greckie, z podpisem

na okładce „Tomas Carlyle, legum 27, Nov. 1807“ znalazły się tam zgromadzone wraz ze stolikiem, który mu służył do pisania przez lat pięćdziesiąt i przy którym skreślił wszystkie dzieła swoje, a są tu między innymi papierami i listy a wśród nich korespondencya Goethego, oraz zawierający je pugilares, który poeta przesłał filozofowi w podarunku z bardzo miłym, wesołym wierszykiem.

Taka tu jest cześć dla pamięci tego szlachetnego myśliciela, że zgromadzono nawet rozmaite części jego ubrania i rozwieszono je w koło ścian, co przecież wywiera na widza wrażenie trywialne. Za to uderza wdzięcznie oczy ogród utrzymany bardzo starannie w takim zupełnie stanie, w jakim był za jego czasów a którym zajmował się z wielkim zamiłowaniem i istnieje jeszcze krzew jaśminu którego szczerp przywiózł sobie mąż ten uczonej ze Szkocji i zasadził własnymi rękami. W pobliżu jest pogrzebany ulubiony pies jego Nero wśród cienistego, bardzo starannie utrzymanego otoczenia; każdy też chyba ze zwiedzających te miejsca wychodzi stąd ze wzruszeniem pewnym a w obcych przybyściach budzi to szacunek dla narodu, który umie tak czcić proroki swoje.

Umie on też dawać podstawy silne społeczeństwu swemu. Tygodnik „Graphic“ dołączył do ostatniego swego numeru obszerną kartę z fotograficznymi podobiznami floty angielskiej, składającej się z dwudziestu dziewięciu okrętów wojennych pierwszej klasy, z których każdy posiada po czterdzieści dział rozmaitego kalibru; okrętów wojennych drugiej klasy jest dwanaście, klasy trzeciej jedenaście a rozmaitych innych, między którymi znajdują się i torpedowce, dwieście pięćdziesiąt. Flota angielska liczy ogółem 88,550 osób a dodać trzeba że nie całą jej siłą jest odporność obronna, anglicy umieją przenikać się uczuciem spełniania obowiązku i to jest tu podstawa.

Zakładów dobroczynnych jest w Londynie 700 z dochodem 5,484,301 dolarów i można sobie wyobrazić na podstawie tych liczb ile to groźna składa naród angielski na cele miłosierdzia a ta ich zamożność, ten dostatek to wynik pracy ogółu, jego przemysłu, handlu, rolnictwa, co nie przeszkadza bynajmniej aby kwitnęła tu literatura i sztuka. Akademia sztuk pięknych, której dyrektorem jest John Everett Millais, człowiek rozumny i poważny a obok tego malarz wyższego talentu, lecz nieco rubaszny, bez wyższej wiedzy teoretycznej, oddziaływa przecież w sposób bardzo pożądany na rozkrzewienie zamiłowania sztuki. Artysta to jest prawdziwie z bożej łaski, bo okazywał już od lat dziecinnych nietylko wielkie zdolności, ale i takie zamiłowanie sztuki, że ośmioletnim chłopcem został przyjęty do akademii sztuk pięknych jako uczeń, a nie było to ani zabawka, ani blaga. Urodzony w 1829 r., otrzymał w 1863 r. tytuł akademika.

Obecnie wybrał się on w podróż daleką. U wybrzeży Nowej Szkocji znajduje się wyspa Sable Island, wydma zupełnie pusta i niebezpieczna dla podróżników już przez swoje rozległe lawiny piasków, długie na 320, szerokie na 120 kilometrów, których szczyt tworzy. Składa się ona z dwóch wydm piaseczystych, rozciągających się równolegle w kierunku wschodnio zachodnim a między dwoma temi grzbietami błyszczy długie, wązkie jezioro wody słonej, połączone różnymi odnogami z morzem. Po za granicami wyspy wznoszą się wzdłuż skały, o które od pierwszego roku naszego stulecia rozbiło się 180 okrętów a fale gwałtownie o brzegi bijące tak niszczą ją choć zwolna lecz ciągle, że według pomiarów uczynionych w 1700 r. była ona dwa razy tak rozległą wzdłuż i szerz. Latarnia morska, zbudowana w 1873 r. zapadła się w 1882 r. w głąb i trzeba ją było odbudowywać dwukrotnie, otóż krajobrazy tej dzikiej i mającej zniknąć wkrótce wyspy pociągnęły do siebie Eweretta Millais, aby wydrzeć zagładzie zapomnienia te pośepnie wzniosłe krajobrazy. Że sztuka angielska skorzysta na tem można już śmiało twierdzić.

Zajmuje tu obecnie bardzo silnie przyrodników i podróżników wyprawa do bieguna północnego aeronauty André i nawet kilku śmiałych młodzieńców, Szkotów, zapragnęło mu towarzyszyć. Czasopismo londyńskie „Cassel Family Magazine“ wypowiada tu zdanie Stanleya, że wyprawa ta nadpoważna może dopiąć celu, lecz prezes Towarzystwa geograficznego w Londynie, Maurycy Markham,

uważa ją za przedsięwzięcie zuchwałe i nie mogące przynieść nauce żadnych wyższych korzyści, gdy z drugiej strony aeronauta Caxwell dowodzi, że balon jest tu najlepszym i nawet jedynie pewnym środkiem dotarcia do bieguna. Angielscy badacze kuli ziemskiej postanowili urządzić też wyprawę podobną, przecież mniej ryzykownie przedsięwziętą i zawiązała się właśnie w Londynie „komitet anarktyczny“ z celem badania południowych okolic polarnych i czynią się tu przygotowania bardzo poważnie i gruntownie urządzone. Wyprawa złożona z dwunastu śmiałych i naukowym celem poświęconych ludzi ma wyruszyć w sierpniu i podąży na wody podbiegunowe z zamiarem wylądowania na przylądku Adair, z kąd skieruje się ku południowemu biegunowi magnesowemu dla czynienia tam doświadczeń.

Droga część tych śmiałych zdobywców wiedzy o kuli ziemskiej zajmie się sporządzeniem mapy po-brzeży i zmierzy głębokości wszystkich fiordów, oraz pomniejszych zatok weiskających się w te lądy polarne, obok czego mają się dokonywać obserwacje meteorologiczne i termometryczne, wraz z badaniem prądów powietrznych i ich kierunku. W wyprawie tej będą brali zarazem udział przyrodnicy, pragnący zbadać faunę i mineralogię, oraz warstwy geologiczne południowych stron polarnych i ich roślinność. Wyprawa zamierza sobie dokonać tego wszystkiego w ciągu roku i przywieść zbiory rozmaite, głównie minerałów i roślin, zwierząt morskich.

Tymczasem w ojczyźnie tych śmiałych i ludzkości pożytecznych przedsięwzięć wiele jest do roboty, i to w zakresie najwyższej wagi, bo tej moralności, na której opiera się godność i szczęście ludzkości. W Londynie zawiązało się już kilka lat temu „Wszczęświatowe stowarzyszenie małżeńskie,“ czyli mówiąc jaśniej stręczenie małżeństw działające na wielką skalę z filiami zorganizowanymi w różnych częściach kraju z całym sztabem urzędników. Prowadzono tu i korespondencyę z osobami mieszkającymi w różnych stronach kraju na wsi i w miastach, a trudno opisać ile pieniędzy wyłudzono od łatwowiernych, nietylko kandydatów do stanu małżeńskiego, ale i kandydatek, a dodać trzeba, że często ludzie klas wyższych, ludzie wykształceni nie wdrygali się udawać do tego środka. Na szczęście policya wytropiła to gniazdo nieczemnego oszustwa, które zamknięto, a jego dyrektorów osadzono w ciężkim więzieniu.

Do rzeczy jeszcze smutniejszych należy tak zwany targ na dzieci, który się odbywa już jawnie a który skomponował jeden z dziennikarzy londyńskich, Wiliam Stead. Rodzice bardzo ubodzy, lub wyrodnii, ogłaszają za pośrednictwem Steada, że jest do zbycia dziecko w takim a takim wieku i ciężko jest pomyśleć, że w kraju tak bogatym jak Anglia i w stosunkach rodzinnych tak wzorowych, coś podobnego dzieć się może. Grono pań szlachetnego serca z lady Coventry na czele zawiązały też stowarzyszenie przeciw działające przez zakładanie ochron nietylko zupełnie bezpłatnych, ale dających całkowite utrzymanie biednemu małżeństwu i można też śmiało powiedzieć o angielskach, że współpracują z mężczyznami w zakresie dobra ogółu i dla tego to otacza je szacunek całego narodu.

Dużo na to wpływa literatura uczciwie czysta, więc nie drażniąca wyobraźni obrazami namiętności bez tego hamulca, który stoi na straży życia dostojnie wiedzonego. Nie ma tu obecnie tych wielkich pisarzy, których utwory przekazane nieśmiertelności podnosiły ludziom ducha w piersiach, ale niemniej znajdują się talenta szlachetne, do rzędu których zalicza się Antoni Hope, irlandczyk, a raczej Antoni Hawkins, który pod przybranym tym pseudonimem zyskał sobie uznanie ogólne, a płodny bardzo dał się poznać wkrótce nietylko społeczeństwu swemu, ale utwory jego drukują się i są czytane w Ameryce, zwłaszcza powieść „Półbohater,“ postać niepospolita, w której piersi odzywają się pragnienia silne życia wiodącego torem górnym, gdy z drugiej strony pewne požądania użycia, brak tej siły szlachetnej, która każe zamilknąć złym namiętnościom, strąca go w dół istnienia i czyni nieśczęśliwym przez to szamotanie się w głębi swojej dwóch moey — anioła światła i ducha ciemności. Powieść ta została przerobioną na utwór dramatyczny, cieszący się na scenie londyńskiej wielkim uznaniem, bo rycerskość, zapał, poświęcenie się

dla idei szlachetnej wywołuje tu zawsze poklask ogółu.

Dramat angielski usiłuje zespolić realizm życia powszedniego z tym idealizmem, który pragnie udoskonalić człowieka przez formy życia szlachetne i jest to rzecz wielce dobra ze względu wpływów, jakie działają wtedy wręcz na szersze koła publiczności. Tragedya w wielkim stylu niewątpliwie wzrusza słuchaczy i wywołuje szlachetne uderzenie serca w piersi, jest ona przecież jak ta szata święteczna, która nas odziewa w pewnych chwilach życia uroczystych, a człowiek potrzebuje niezbędnie odzieży, które by mu służyła co dzień przy tej pracy, którą odrabiać mu trzeba z godziny na godzinę. Shakespeare nie utracił też swego wpływu mimo to, że wieki dzielą go od społeczeństwa Anglii, ale życie dzisiejsze ma niemniej swoje prawa i należy się aby teatr posiadał wpływ na pokolenia dzisiejsze przez dzisiejszych spraw obroty. Sztuka bardzo tu cenionego autora Sydney Grundy „New Women“ (Nowe kobiety) choć już rok czwarty jest na repertuarze jednego z najpopularniejszych teatrów Londynu, ściera zawsze publiczność.

Jedna z kobiet o pojęciach życia kobiety dawnej, to jest kobiety dla której przeznaczeniem niewieściem jest istnienie w rodzinie i dla rodziny, idzie za mąż za człowieka bardzo światowego a zarazem wyznającego zasady wyemancypowania się kobiety z prac domowego ogniska, więc choć kocha on tę żonę swoją, zawsze przecież wdycha za ideałem tej, która by jak się wyraża była mu równą duchem, aż przychodzi chwila w której poznaje on, że ta cicha i skromna, nie pragnąca bynajmniej tego samego działu pracy, jaką odrabia mężczyzna, staje się jego aniołem dobrej pomocy w obec ciężkich nieraz, trudnych warunków życia, wśród których ukazuje mu się wielkoduszność jej szlachetna.

Nowością, którą można nazwać postępową, jest tu akt Królewskiej Akademii sztuki, która po raz pierwszy przypuściła do grona swego członków rozmaitych narodowości z warunkiem przecież, że obowiązani są znajdować się w Londynie w chwilach ważniejszych obrad i zasilać peryodycznie wystawy Akademii utworami swego pendzla, lub ryłca. Królewski Instytut malarstwa farbami wodnymi otworzył w tymże czasie wystawę złożoną z 630 obrazów, prasa uczyniła tu przecież uwagę, że było tu dużo mniej niż zwykle dzieł pendzla kobiecego, lecz skutek to jest, że utworzono za staraniem księżny Yorku oddzielną szkołę sztuki dla kobiet, a choć może ktoś weźmie to za barbaryzm dodam, że wiele ważniejszą rzeczą dla kraju jest to, iż koła niewieście zawiązały jednocześnie „Narodowe Stowarzyszenie zdrowia.“ W d. 3 marca M-rs Klara Goslett przemawiała w lokalu Stowarzyszenia do licznie zgromadzonej publiczności, jakiem jest znaczenie staranności kobiety o zdrowie rodzin, z których składa się naród. Jest tu ona strażniczką najwyższego dobra ogółu, ale nie dość to jeszcze posiadać wiedzę potrzebną, należy tu zarazem mieć serce tkliwe, umieć czuć i kochać za miliony, jak się wyraził nasz poeta.

Do aktów godnych wspomnienia zaliczyć trzeba otwarcie dorocznej wystawy sztuki w Dublinie, dokonane bardzo uroczyście; dopełnił go lord namiestnik Irlandji w towarzysztwie pań, zajmujących się postępową sztuką, której postanictwem jest odrywać ducha ludzi od materialnych tylko przyjemności, jak się wyraziła przy akcie otwarcia jedna z czynnych protektorek wystawy, lady Codagon. Pani ta umie odczuwać potrzeby ducha ludzkiego i wchodzi w położenie ludności irlandzkiej, dla której ta wystawa miała znaczenie uroczyste, bo możliwość przekonania się zali praca ludzi dobrej woli nie przepada marnie? Ktoś obcy nie dostrzegł by tego, bo nie było tu przedmiotów zbytku, lecz za to narzędzia pracy, pracy owoce mogły cieszyć ludzi poczytych. Nad wieczorem dnia tego odbyły się uroczyste nieszpory w katedrze, którą zapełnił ściśle lud z różnych okolic kraju. Nazajutrz wystawa była otwarta bezpłatnie, a wpuszczano tu każdego chociażby w łachmanach i to właśnie nadawało jej charakter szlachetny.

Po dziennem zwiedzaniu wystawy zgromadzili się wieczorem ludzie, obradujący, zali odpowiedziały zadaniu swemu, czy dała możliwość rozpatrzenia się głębszego co było tu postępową w pracy, co

w pracy tej leniwem się opuszczeniem? Rezultaty okazały się mniej więcej zadawalniające, uradzono zatem stowarzyszenie przeciw emigracji ludu irlandzkiego do Ameryki, aby wsie i miasteczka opustoszone nie dawały tu przystępu przybyszom obeym.

Henryk.

Z bieżącej chwili.

— W Petersburgu, rozpoczął się zjazd przedstawicieli kolei w sprawie podmiejskiej komunikacji.

— Na ostatniem posiedzeniu komitetu wystawy higienicznej zdana została sprawa z postępu robót koło urządzenia dioramy starej Warszawy podług rysunku Canaletto z XVIII wieku. Diorama będzie wykonana w ciągu miesiąca przy współudziale I. Ryszkiewicza, Guranowskiego i Kozłowskiego.

— W d. 25-tym marca przypadała rocznica ćwierćwiekowego istnienia Towarzystwa muzycznego, obchodzona koncertem, który rozpoczął się odśpiewaniem po raz pierwszy trzech pieśni Moniuszki. Sekcja imienia Moniuszki otrzymała bogaty zbiór pamiątek, albumów, oraz rysunków odnoszących się do rodziny mistrza, między którymi znajduje się kilkanaście jego rękopismów, i mięści się „Stara piosenka“ na solo-tenor z chórem głosów niewieści. Grono członków sekcji składa się z 67 osób.

— Panorama wielkich rozmiarów Fałata i Kosaka „Przejście przez Berezynę“, wykonana w Berlinie zajmuje bardzo publiczność tego miasta. Ma tu ona przedstawiony sobie krajobraz zimowy, na którego tle widnieje kilkaset postaci. O skreślenie objaśnienia potrzebnego nie tylko dla cudzoziemców zwrócono się do Gawalewicza. Otwarcie nastąpiło w d. 1-ym kwietnia.

— Towarzystwo Muzyczne rozstrzygnęło w tych dniach dwa konkursy. Konkurs ogłoszony przez Towarzystwo na „Poloneza jubileuszowego“ zgromadził czternaście kompozytów w pośród których uznano za utwór najlepszy polonez pod godłem „Nadzieja“, i przyznano mu nagrodę w sumie 150 rs., z pewnem przeciwieństwem, wyróżniając obok tego dwie prace pod godłami „Alfa“ i „Dla chwały.“ Po otwarciu koperty okazało się że twórcą poloneza nagrodzonego jest p. Ignacy Pilecki, a odznaczonego z pierwszeństwem p. Tadeusz Jotejko; odznaczenie drugie otrzymał p. Michał Hertz. Sąd konkursowy składał się z p. p. Stanisława Cichomskiego, Adama Mincheimera, Zygmunta Noskowskiego, Aleksandra Polińskiego i Gustawa Roguskiego. Z grona artystów, zaproszono p. p. Stanisława Barcewicza i Ludwika Grossmana.

— Emigracja do Brazylii wciąż grasuje, czterdziestu czterech młodzieńców wyjechało tam o własnym koszcie. Na czele ich jest P. Janicki członek Towarzystwa handlowo geograficznego.

— Do zapisu dzieci ubogich i słabowitych, które z Warszawy wysyłają się na wieś lub do Cieclocinka, zgłosiło się przeszło 3,200 chłopców i dziewczyn, lecz komitet nie posiada dostatecznego na to funduszu i odwołuje się do ludzi dobrej woli o pomoc. Badanie zdrowia już rozpoczęto, lecz praca ta zajmie jeszcze parę miesięcy czasu. W ostatnich dniach wpłynęło do kasy za pośrednictwem p. Juliana Wieniawskiego: od p. Zofii R. 300 rs., od p. Felicyana Jankowskiego 200 rs., od Jana Epsteina 200 rs., od sukcesorów Doroty Nel-

kenbaumowej 100 rs., od I. W. 25 rs., od Stanisława Lessera 25 rs., od Józefa Baumrittera 25 rs., od Bernarda Deklera 5 rs. Do rąk skarbnika kolonii, dyrektora Czajewicza, wpłynęło: od Stanisława Altdorfera 25 rs., od R. R. 10 rs., od Ola i Kazia Schiele 10 rs. Obok tego w naturze nadesłano: A. Lipink 47 grzebieni rzadkich i 55 gęstych, Wład. Rekwart 35 par cholewek, Adolf Weinstein 35 par cholewek, W. Weigel 35 $\frac{1}{2}$ funtów juchtów platowych, S. Hauptman 20 funtów boków końskich i 24 par przyszewczek dziecięcych, 30 fun. abfalu juchtowego i 20 końskiego, K. S. Weisheit 5 saków i 6 funtów skóry w kawałkach, Samojluk 51 kapek na noski do obuwia. Bezimiennie nadesłano: 24 koszul dla chłopców, 71 spódniczek barchanowych, 13

sukienek kretonowych, 24 fartuszków, 2 koszule dla dziewcząt.

— Gazeta Kielecka podaje niewesołą wiadomość, że w pięciu włościach położonych nad Nidą, wycięto w powiecie jędrzejowskim znaczne obszary lasów. Obok tego lasy, oddane włościom na wykup służebności, zostały w tych miejscowościach sprzedane na wyrąb.

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza“ dołącza się: ark. 5 i 6 powieści p. t. **Walka serca**, przez Idę Boy-Ed. Przekład z niemieckiego.

Tom 25 kop.

Pocztą tom 32 kop.



Bezprzykładnie niska cena



POWIEŚCI HISTORYCZNE

ZNAKOMITEGO PISARZA

JÓZ. IGN. KRASZEWSKIEGO

przedstawiające w formie powieściowej

Dzieje od IX do drugiej połowy XVIII wieku.

W ciągu roku wyjdzie 30 tomów.—Co 10 do 15 dni jeden tom.—Przy zapisaniu płaci się za tom I i ostatni 50 kop. następnie przy odbiorze każdego tomu 25 kop.

Dla płacących odrazu za 78 tomów liczy się tylko rs. 16, pocztą rs. 22 —Kwotę rs. 16, a z prowincyi rs. 22 można wnieść w 4 równych ratach do 1 lipca r. b.

UWAGA. Należność nadsyłać można z obstalunkiem, lub też wnosić na stacyi pocztowej przy odbiorze.

Wyszły z druku tomy 1—5: STARA BAŚŃ, powieść z IX wieku, 3 tomy.—LUBONIE, powieść z X wieku, 2 tomy.

MICHAŁ GLÜCKSBURG, księgarz-wydawca; ul. Włodzimierska № 4.

OD WYDAWCY.

„Bluszcza“ w kwartale przyszłym wychodzić będzie pod dotychczasową redakcją.

Szanownym prenumeratorom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

TREŚĆ: Pogawędka, przez ?? —Kartki z dziennika, przez Selima.—Kędy droga? Powieść współczesna, przez Wandę Grot-Bęczkowską (dalszy ciąg).—Ruch muzyczny, przez Adama Dobrowolskiego.—Przegląd piśmienniczy, przez J. Nitowskiego.—List z Anglii, przez Henryka. Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Walka serca, powieść, przez Idę Boy-Ed. Przekład z niemieckiego, ark. 5 i 6.—Przegląd mód. 26 wzorów i robót z opisem. Sekretu gospodarskie.—Dyspozycja stołu.